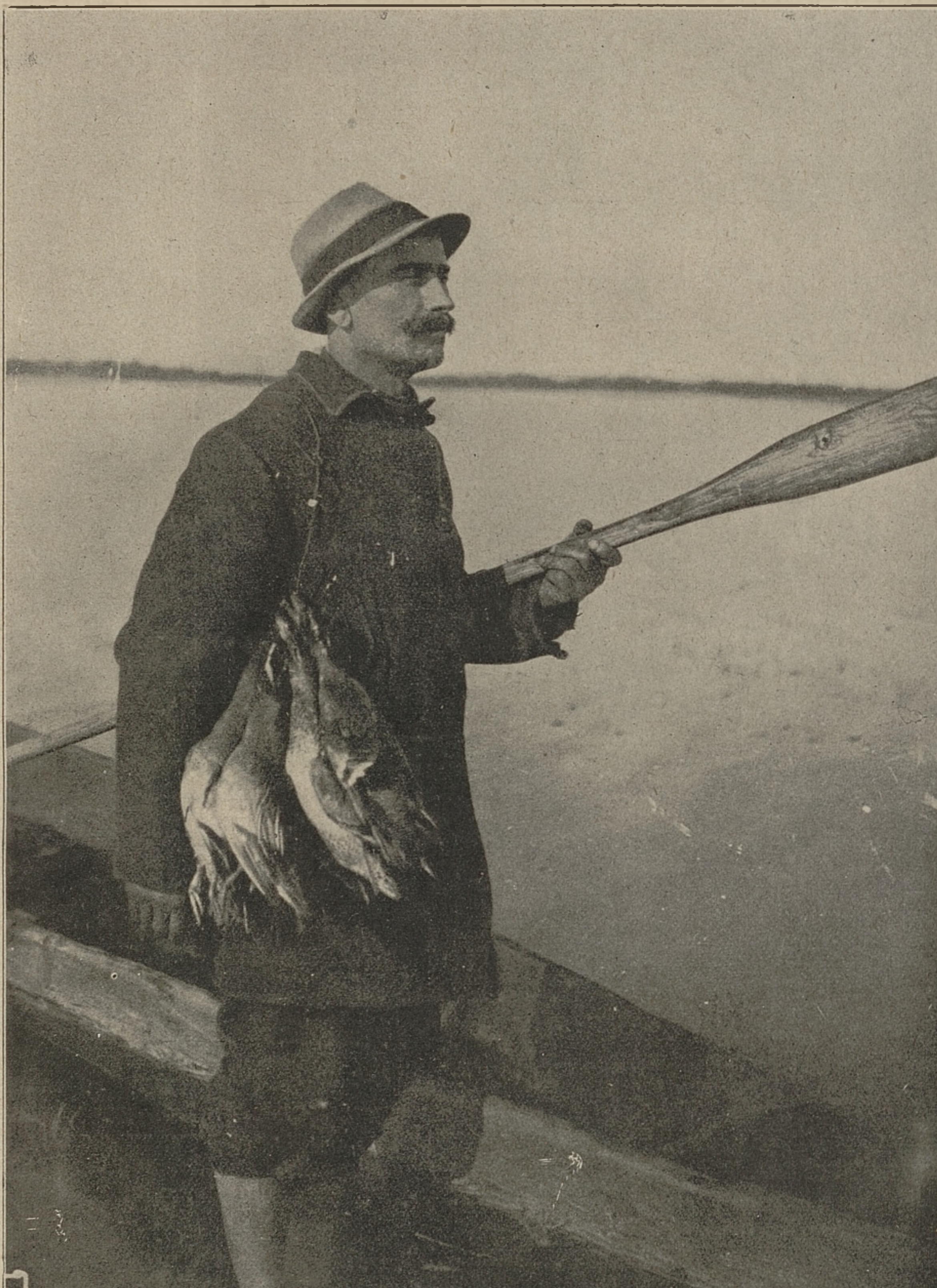
ŁOWIEC POLSKI



Iwan Sereda z Duhoi na Pińszczyźnie. Fot. Stan. Zdan-Michajłowicz.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 31 (585). 2 SIERPNIA 1930 R.



Na kaczkach. Fot. Stan. Chromiński.

NA GĘSI Z TRATWY.

(WSPOMNIENIA Z URIANCHAJU).

Zanim przystąpię do właściwego opowiadania, nie od rzeczy będzie pokrótce zapoznać czytelników „Łowca Polskiego" z ogromnie ciekawym krajem, jakim niezawodnie jest Urianchaj, na którego terenie odbywało się to ciekawe i jedyne w swoim rodzaju polowanie, jakoteż towarzyszące mu okoliczności.

Przypuszczam bowiem, iż większość nawet nie słyszała, że kraj taki gdzieś się na naszym globie mieści i że jest tak paradoksalnie dziwny pod wielu względami. Takie odchylenie od właściwego tematu tylko go wzbogaci i bezwarunkowo urozmaici, nadając mu specjalny koloryt, przez co może więcej czytelnika zaciekawić.

Spójrzmy więc uważnie na mapę Syberji, z której granic Urianchaj wymyka się, ku Mongolji ciążąc. Poprowadźmy wzrokiem od Krasnojarska na południe w górę kolosalnej, przepięknej rzeki Jeniseja, jakiemu chyba dorównać może jeden Amur naWschodzie, ustępując jednak pierwszemu w szybkości prądu.

Wychodząc z lodowców Tybetu, sięgających kilkunastu tysięcy stóp nad powierzchnią morza, płynie Jenisej na przestrzeni przeszło tysiąca wiorst, po znacznej pochyłości, a potem jeszcze dwa tysiące wiorst już wolniej, aż do Lodowatego oceanu, i tworzy się z dwóch rzek, Bej-Kema i Cha-Kema, t. j. Wielkiej i Małej rzek (po mongolsku), czyli Wielkiego i Małego Jeniseja.

Przy zlaniu się tych dwóch rzek, z których Bej-Kem zawraca od północo-wschodu, niosąc swe wartkie masy wodne, spotyka go młodszy brat Cha-Kem prawie pod prostym kątem, podążając od wschodu i stanowiąc jakby dalszy ciąg i jedną, prawie prostą linję z uformowanym przez to zlanie, właściwym Jenisejem. W tem właśnie miejscu, na jego lewym brzegu stoi Biełocarsk — stolica Urianchaju, a przedstawia się zgoła marnie, gdyż stanowi ją zaledwo kilkanaście drewnianych domów, z nich tylko jeden piętrowy, w którym mieści się zarząd, t. j. administracja i wielka, niedobudowana jak cały Biełocarsk, drewniana cerkiew i kilkanaście chałup.

Stworzone to zostało gorączkowo przez carski rząd bardzo niedawno, bo najwyżej przed dwudziestu laty, prawem kaduka, w celach zaborczych, agresywnych. Fama o kolosalnych bogactwach Urianchaju od dawna dochodziła do Petersburga, ale zrealizowanie zagarnięcia tego kraju ostatecznie nastąpiło dopiero na początku dwudziestego wieku.

Urianchaj zamieszkany jest głównie przez koczownicze, mongolskie plemię Sojotów, niewielką ilość ro-

sjan i odrobinę tatarów. Pierwsi osiedlili się tam za dawniejszych czasów, drudzy więcej niż przed stu laty, jako sekciarze, starowiercy, uchodzący od prześladowań rządu i chroniący się za nieprzebyte, w owe czasy, góry Sajańskie. Ci dzielni ludzie dokonali iście bohaterskiego czynu, na każdym kroku narażając życie swych rodzin, obchodząc miejsca przepastne i niejednokrotnie spuszczając się po sznurach, i w ten sposób przedostając się przez grzbiety dzikich, niezbadanych Sajanów, odcinających Urianchaj od właściwej Syberji z jej rządem. Po niewypowiedzianych trudach karkołomnej przeprawy, trwającej Bóg wie ile czasu, osiedlili się wreszcie jakby w ziemi obiecanej, jak w raju, tworząc wielkie osiedle przy ujściu szalonej, górskiej rzeki Usa do Jeniseju: dwie osady, dwa wielkie siolo: Wierchnie-Usinskoje i Niżnie-Usinskoje.

Przeszło sto lat pędzili życie patrjarchalne, od nikogo niezależni, nie znając ani podatków, ani dawania rekruta, ani żadnej władzy lub kontroli, i czując się jak u Pana Boga za piecem.

Opatrzność, to ich nad wyraz śmiałe przedsięwzięcie sowicie wynagrodziła, bo kraina okazała się mlekiem i miodem płynącą, góry pokryte pysznymi lasami o wielkiej rozmaitości gatunków drzew, pełnymi wszelkiego zwierza, a przytem nie rzadko spotykał się szlachetny kruszec — złoto, najczęściej w małych strumykach skalnych, jak nici z gór sączących swe wody.

Jenisej, Us i pomniejsze rzeki, obfitujące w najdoskonalsze rodzaje ryb, jak olbrzymie, drapieżne, plamiste o ciemno-purpurowych pletwach i szerokich, uzębionych głowach, tajmenie, przepiękne, łososiowate, różowo nakrapiane, złociste, o wytwornym smaku delikatnego mięsa, koloru „saymon" linki, średniej wagi 2 — 3 kilogramy, lecz trafiające się i do 8 kg., srebrno-łuskie, jak najczystszy metal, sigi (sieje), smakiem nieustępujące linkom i od nich rzadsze, ciemnobure, z zielonkawym odcieniem, tłuste nalimy, wyśmienite na zupę (uchę), w rodzaju naszych miętusów, lecz dochodzące poważnych rozmiarów; wreszcie małe, smaczne, nakrapiane symetrycznie w drobne, czarne groszki chajriuzy, około 4 kg. ważące. Jesiotry i sterlety ukazują się dopiero poniżej Wielkiego Porohu, więc w Urianchaju ryb tych niema.

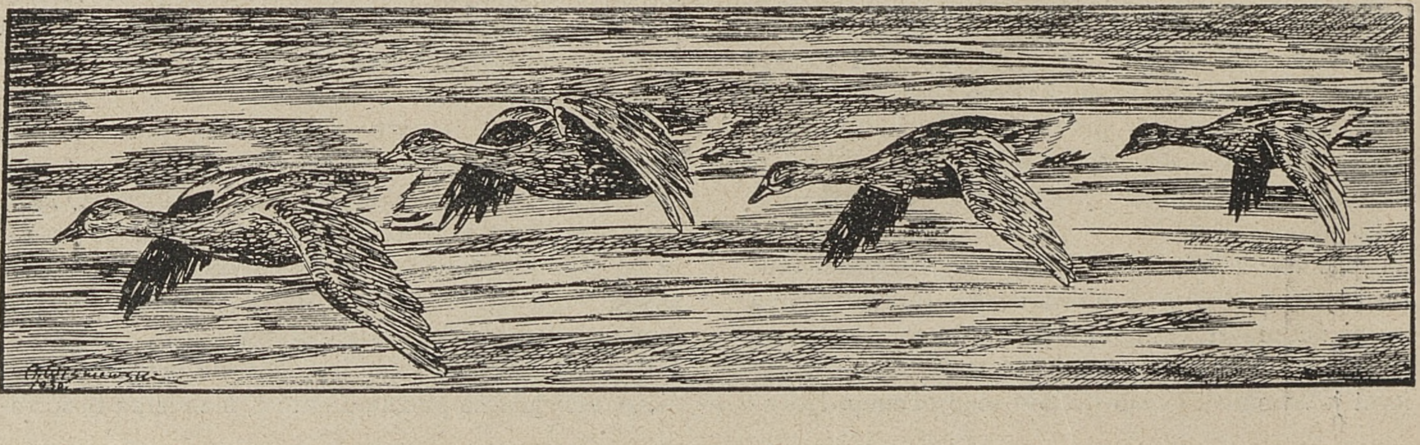
Na jeziorach Białem i innych zatrzęsienie wodnego ptactwa i znów masa ryby, wodom stojącym właściwej. Po wielkich błotach lęgną się nietylko wszelkie gatunki kaczek, lecz i gęsi.

Na bujnych, soczystych łąkach bezkresnych pasły się wielkie stada koni, bydła i owiec, a ziemia dziewicza bez sztucznych i bydlęcych nawozów rodziła najbujniejszą, jarą pszenicę. Bez przesady rzec mogę, że jest to kraj tak wielkich bogactw i darów przyrody, iż mu niewiele dorównać zdoła, bo i węgla kamiennego grube pokłady tuż pod Biełocarskiem na powierzchnię ziemi występują.

Jakoś mi dla porównania mimowolnie przychodzą Węgry, lecz klimat Urianchaju znacznie surowszy, ze względu na jego wysokie położenie nad poziomem morza, bo w szerokości geograficznej różnica niewielka. Oczywiście, że to, com tu skreślił pobieżnie, nie wyczerpuje wielu jeszcze ciekawych rzeczy, jakie o Urianchaju dałoby się powiedzieć.

Mając wszelkich darów przyrody do zbytku, czuli się tam pierwsi przybysze rzeczywiście jak w jakim raju wymarzonym, ale wszystko na świecie ma swój koniec, i głuche wieści dochodziły od czasu do czasu do „władz" o nieprzebranych Urianchaju bogactwach i o przebywających w nim, nieuznających poddaństwa, przed laty zbiegłych i osiadłych rosjanach, więc rząd zdecydował się na stanowczy krok i na parę lat przed wojną rozpoczął budować wielką drogę kołową, z wielkim nakładem, t. zw. „Usinskaja kolesnaja doroga" przez łańcuch Sajańskich gór, z takiem wyrachowaniem, żeby po niej mogły kursować automobile i w najkrótszym czasie przedostawać się do Urianchaju i jego stolicy, Biełocarska. Sypnięto pieniędzmi, wyprawiono inżynierów i techników, i energicznie wzięto się do tej budowy, a robiło się to niemal w moich oczach, gdyż w tym czasie mieszkałem w Minusińsku, oddalonym od Grigorjewki, skąd się budowa rozpoczynała, o 110 wiorst. Miałem na budowie znajomych i sam do Grigorjewki dojeżdżałem.

Tą niewykończoną jeszcze drogą Usińską jechałem pierwszy raz w połowie lutego 1917 r., przed kilkunastu laty, i w tym samym roku powracałem w sierpniu, lecz inną drogą, o wiele dalszą, o wiele wygodniejszą i przyjemniejszą, bo wodną, na wielkiej, piętrowej tratwie po Jeniseju, unoszonej jego wartkim prądem, przecinającym władcze góry Sajańskie w swym szalonym pędzie przez spadziste porohy, doznając takich wrażeń, jakich ani przedtem, ani potem nigdy w życiu nie doznałem, i o jakich ten tylko może mieć pojęcie, kto taką, bez przesady mówiąc, cudowną podróż odbył.



Do dziś dnia nie mogę odżałować, że przewrót bolszewicki zmusił mnie do przyśpieszonego opuszczenia Urianchaju, że tak krótko w nim przebyłem, żem się tam nie udał o parę lat wcześniej, żem nie zaznał tych rozkoszy łowieckich, jakiemi ten, pod każdym względem, ogromnie ciekawy kraj darzyć może, dając dla duszy myśliwskiej wspaniałą ucztę, pełną wstrząśnień, przeżyć i silnych wrażeń.

Niech mi łaskawi czytelnicy darują, że odbiegam czasem od właściwego tematu, t. j. polowania „na gęsi z tratwy", lecz uważałem, że nie można było pominąć tej krótkiej wzmianki, jaką pobieżnie skreśliłem o Urianchaju, gdyż tam tylko i jedynie w tym okresie czasu, t. j. w pierwszej połowie sierpnia mogło takie oryginalne polowanie z tratwy przypadkowo się odbyć.

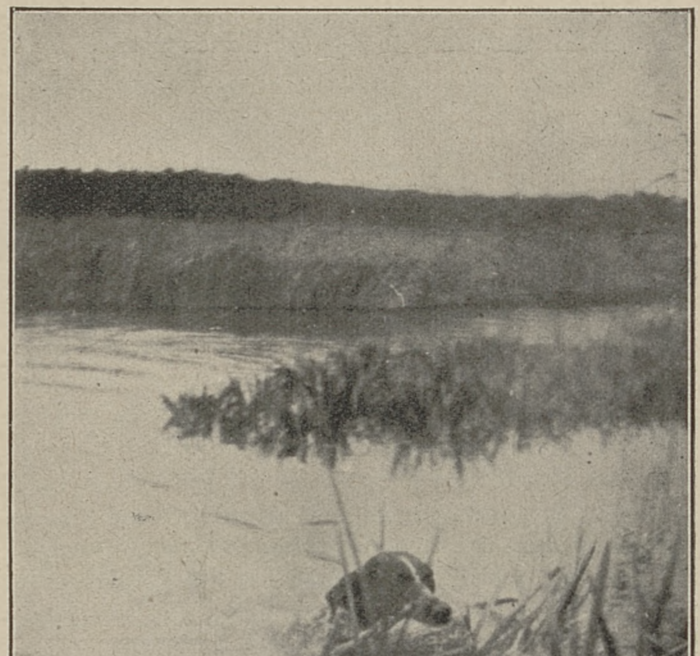
Wyruszyliśmy z Biełocarska w dniu 9 sierpnia 1917 r. około 2-ej po południu, w piękny, słoneczny dzień, a lekki wiaterek mile orzeźwiał całą naszą wielką grupę, składającą się z kilkudziesięciu osób z najrozmaitszych sfer i narodowości razem przemieszanych. Wielką, specjalnie urządzoną, piętrową tratwą kierował, sławny, na cały Urianchaj, doświadczony sternik, Adrjan Briuchanow z Ujuka, gdzie też i ja z rodziną zamieszkiwałem, mając sobie w Ujuku wyznaczoną, jako technik, rezydencję, oddaloną od Biełocarska o 90 wiorst ku zachodowi, i taka sama przestrzeń dzieliła mnie od Niżnieusinska, więc byłem między jednym a drugim pośrodku, dla łatwiejszego zarządzania robotami, na 180 wiorstach drogi z Usa do Biełocarska. W rok potem Briuchanowa, niezwykłej energji i przedsiębiorczości człowieka, na początku jesieni 1918 r. zamordowali bolszewicy pod Minusińskiem, jako „burżuja". Żałowałem szczerze tego dzielnego człowieka.

Wesoło i gwarno było na tratwie w chwili odbicia od brzegu i długo za nami powiewano chustkami i pożegnalne znaki dłoni przesyłano. Odpływała wraz z nami cała szkolna młodzież, powracająca do Minusińska do szkoły realnej, częściowo odprowadzana do pierwszego noclegu w Bułuku.

Unoszeni szparko wartkim prądem wspaniałej rzeki, posuwaliśmy się ze średnią szybkością 8 wiorst na godzinę, i o zachodzie słońca dotarliśmy do pierwszej osady Bułuk, zamieszkanej przez bogatego kupca, tatara, wielkiego miłośnika wszelkiej broni i bardzo gościnnego; pozatem było tam parę rodzin sojotskich oraz kilku osiadłych rosjan, a wszyscy wylegli na nasze spotkanie, bo wszyscy o tej porze byli w domu. Przybiliśmy do prawego brzegu, umocowując grubą linę do jakiegoś wielkiego pnia ściętej topoli.

Wnet zawrzało życie obozowe, i w jednej chwili zostały rozpięte namioty prawdziwe i prowizoryczne, z różnych płacht i brezentów na poczekaniu sporządzone; po chwili rozniecono sute ognie z momentalnie naściąganych, suchych, topolowych gałęzi, których obfitość była na brzegu wielka; zawieszono najrozmaitsze kociołki, a w niespełna godzinę wszyscyśmy się delektowali doskonałą, cegiełkową herbatą z dodatkiem obfitej przekąski, jaką każdy posiadał w zapasie na tygodniową podróż. Apetyty mieliśmy okrutne, więc się jadło, popijając herbatą, aż się uszy trzęsły. Niektórzy zaraz po przybiciu tratwy, i ja w tej liczbie, udaliśmy się na poszukiwanie mleka, bez którego cegiełkowa herbata traci na smaku, i niebawem powróciliśmy, niosąc pełne „krynki" (garnki dwulitrowe) z wieczornego udoju, ciepłego jeszcze, doskonałego, gęstego mleka; inni przynieśli pyszne, zupełnie dojrzałe arbuzy. Słowem, co się komu udało.

Paru amatorów na łodzi przeprawiło się na lewy, nizinny brzeg, spodziewając się tam, po zachodzie słońca, upolować parę kaczek; każdy robił, co mu się podobało; panowała zupełna swoboda i beztroska wesołość, a z przeciwległego brzegu o zmroku już od czasu do czasu dochodziły oddalone strzały naszych zajadłych myśliwych.



Aport! Fot. Zygm. Jaźwiński. Radzyń.

Tych ostatnich spotkała niemała przygoda, zgoła nieprzewidziana, bo gdy ciemna noc zapadła po znacznem ich oddaleniu się od rzeki, brodząc za kaczkami w różnych kierunkach, stracili orjentację i zbłądzili. Na tratwie niepokojono się, gdyż dochodziła 10-ta, a nazajutrz o 5-ej punktualnie mieliśmy w dalszą ruszyć podróż, i nie można było kilkudziesięciu osób uzależniać od paru nierozważnych zapaleńców, których też nie wypadało pozostawiać ich własnemu losowi, i należało coś przedsięwziąć.

Dobrze już po 10-ej usłyszeliśmy jeden po drugim dwa dublety dalekie, więc domyśliliśmy się, że to nam sygnalizują nasi zabłąkani, i wnet z naszego brzegu

odpowiedziano tem samem, poczem upłynęło jakie półtorej godziny, kiedy wreszcie doszedł nas plusk wioseł, a po niejakim czasie, z ciemności wyłoniła się łódź z niefortunnymi myśliwymi, przemęczonymi do ostatecznych granic, tak, że odmówili nawet posiłku i zwalili się jak kłody, oddając się w objęcia nad wszystko droższego, pokrzepiającego snu. Wszyscy też doznaliśmy ulgi. Nazajutrz o świcie wielki ruch zapanował na brzegu, bo na tratwie takiej sternik to kapitan, i jego woli bezapelacyjnie wszyscy musieliśmy podporządkować się, i w kilka minut po 5-ej ruszyć, z takiem wyrachowaniem ,żeby w przeciągu dziesięciu godzin 80 wiorst przebyć i za dnia jeszcze, choć na godzinę przed zachodem słońca, do miejsca zgóry określonego, na nowy nocleg zdążyć. Śniadanie i herbatę spożywaliśmy na tratwie, gdzie było urządzone w kwadratowym zrębie z łupanych bali, gliniane palenisko, a woda tuż — tylko zaczerpnąć.

Wielkie tratwy po Jeniseju idące z Białocarska i wogóle z Urianchaju, t. j. z miejscowości wyżej lub niżej tego punktu położonych i podążających do Minusińska, albo jeszcze o 500 wiorst dalej do Krasnojarska, i mające w takim razie do przebycia całe 1000 wiorst, przedstawiają się imponująco i budowane są bardzo starannie w specjalny sposób.

W tym celu używa się kolosalnych pni jodłowych i sosnowych, czasami cedrowych, które wszystkie mogą być między sobą przemieszane; takie pnie w przecięciu średnio dochodzą 70 — 80 cm., trafiają się czasami i metrowej grubości, a długość ich sięga 30 metrów, przyczem grube końce pni umocowują się za pomocą zastrzałów, przechodzących poprzecznie przez wszystkie końce, głęboko w nie wrąbane. Takie wzmacniające zastrzały robi się, t. j. wrębuje trzykrotnie, a więc jeszcze drugi w środku tratwy i trzeci w jej węższym końcu przy odrębach. W ten sposób zbudowana tratwa ma formę wielkiego trapezu, którego węższa strona zawsze jest ku przodowi zwrócona. Po końcach umocowują się ogromne, mocne stery, które w razie potrzeby łatwo można z wideł wyciągnąć, a przy nich cały czas ruchu tratwy, na każdym po 3—4 ludzi pracuje, wykonywując komendę sternika z wielką wprawą i pośpiechem. Najmilszą komendą jest wyraz „szabasz", oznaczający podniesienie sterów i pozostawienie tratwy całkowicie prądowi, co się dość często zdarza, jeżeli rzeka nie ma wirów i zakrętów, i równo płynie; wówczas robotnicy przy sterach zapalają fajki, gawędzą i dowcipkują na swój sposób, mówiąc, że „szabasz" choroszij człowiek".

Na dwa metry ponad tratwą wznosi się wielka platforma, właściwie pomost, na tęgich kozłach spoczywający i mocno, doskonale dopasowany, a na nim dopiero spoczywa cały ładunek, sięgający często do tysiąca pudów, prócz kilkudziesięciu ludzi pasażerów. Robotnicy przy sterach stoją w dolnej części na samej tratwie, której pomost nie pokrywa całkowicie; szczególnie od przodu pozostaje 6 do 8 metrów odkrytych i tam jest urządzone palenisko i miejsce dla zwierząt, t. j. koni, krów i owiec, sprzedawanych z dobrym zarobkiem po przybyciu do Minusińska lub Krasnojarska. Pokarm dla tego inwentarza również na dole się mieści, jak również i łódka, która mogłaby z tyłu za tratwą zawadzać przy sterowaniu i którą wciąga się na tratwę na przednią część. Kapitan takiego kolosa — tratwy, czyli sternik, na pokładzie w samym środku ma podwyższenie, na beczkach zwykle urządzone, z którego nie schodzi, badając cały czas kierunek, wiry i pęd wspaniałej rzeki, będąc moralnie odpowiedzialny za całość i życie wszystkiego i wszystkich. Zna też swoją rzekę w każdem jej miejscu i zakręcie, jak swoje pięć palców, i nigdy komendy nie wyda, ani zapóźno, ani zawcześnie, a zawsze w porę. Sternika na Jeniseju, równego Briuchanowowi, nie było w Urianchaju, lecz niema go już — pozostało tylko smutne wspomnienie.



Wysiadująca kuropatwa. Fot. St. Choiński, Kalisz.

Do „Listu" na str. 632.

Górny pomost na tratwie jest niezbędny, bo gdyby go nie było, to z niej na Wielkim Porohu wszystko doszczętnie zostałoby zmyte, gdyż wielka fala przy szalonym pędzie wdół masy wodnej, sięga ponad 2 metry, aż na pomost, często oblewając ludzi i pakunki, lecz to się niezawsze zdarza i trwa chwilę.

Ciekawy ogromnie jest fakt, że w pewnem miejscu i momencie przed Wielkim Porohem, sternik nadawszy uprzednio tratwie pewien kierunek, każe pośpiesznie zaciągać stery na pokład, żeby nie przeszkadzały, pozostawiając przez to tratwę na los zawrotnego prądu; i tak, huśtając się na rozszalałej fali, zlatuje się wdół. Wrażenie takiego spadania, trwającego może pięć minut, jest kolosalne i z niczem niedające się porównać, bo łączy się tu wielka przyjemność te-

go wodnego, budującego lotu, z ukrytą jednak obawą, jak się z tego wyjdzie.

Prowadzących z Urianchaju tratwy, sterników jest kilku, ale wśród nich Briuchanow uważany był za pierwszego w swoim fachu i niedościgniionego artystę, więc miał zasłużony mir, szacunek i popularność w tym kraju, i był znany dalej aż do Krasnojarska, a że przytem powodziło mu się dobrze materjalnie, starczyło tego bolszewikom, żeby go zamordować.

Niema chyba na starym lądzie drugiej, równie wspaniałej rzeki, niosącej swe kotłujące nurty i tajemnicze głębie wielkich mas wodnych, jak właśnie Jenisej, zwłaszcza w swej górnej części. Przedziera się on tam władczo przez grzbiety gór Sajańskich, wśród majestatu dzikiej, nad wyraz malowniczej przyrody, a pojęcie o tem, ten tylko mieć może, kto to na własne oczy widział i odczuł.

Niech mi w tem miejscu łaskawi czytelnicy uprzejmie jeszcze raz darują, że mimowolnie oddaliłem się od właściwego przedmiotu, lecz nie mogłem milczeniem pominąć swych, po kilkunastu latach, niezatartych wrażeń, tak silnie w mej pamięci wrytych, jakbym i teraz na to patrzał.

(C.d.n.). BOHDAN GRZYMAŁA PRZECŁAWSKI.



Polowanie na dziki przy świetle pochodni.

W drugiej połowie sierpnia, w rannej porze, siedziałem zajęty pracą przy biurku, gdy niespodziewanie zapukał ktoś do drzwi mego pokoju.

Na dane zezwolenie z mej strony, wszedł miejscowy wójt i pozdrowiwszy mię swojem „Sława Issusu", stanął w milczeniu zakłopotany, czekając widocznie na moje zapytanie, co go do mnie, o tej porze sprowadza.

Pozdrowiwszy wójta uprzejmie, spytałem, jaki ma interes.

— A to proszę pana, względem tych dzików przychodzę. Ludzie z całej wsi nie dają mi spokoju, i przejść przez wieś trudno. — Niech pan coś radzi, bo wieś wybiera się ze skargą do starostwa i będzie pan miał z tem kłopot.

— Wiecie dobrze wójcie, że w naszym lesie dzików nigdy niema i u nas one się nie wywodzą, a rzadko kiedy zalegają. Gdy to jednak czasem się trafia, natychmiast służba leśna daje mi znać i robimy dorywcze polowania, w tym samym dniu, w którym dziki w naszym lesie zaległy. — Sąsiad, u którego stale przebywają dziki i tam rok rocznie się wywodzą, nazywa te nasze polowania „pospolitem ruszeniem", gdyż każden, kto umie władać bronią, może brać w nich udział. Na mnie więc nie cięży wina, że dziki z lasu sąsiada przechodzą w nocy przez nasz las, by na polach waszych, obsianych kukurydzą, robić dotkliwe szkody. — Cóż ja na to mogę poradzić? — Niech wójt sam powie, czy nie tak jest w istocie?

— Ma pan zupełną rację, odrzekł mi na to wójt, lecz ustawa mówi, że kto ma prawo polowania, ten winien wynagrodzić szkody, jakie tam czyni zwierzyna, bez względu na to, skąd ona tam się wzięła i od kogo tam przyszła.

Wójt rzeczywiście miał rację, ale trudno mi było z tem się pogodzić: Ustawa w gruncie rzeczy nie była sprawiedliwą. — Niech się Bóg wie skąd wyrwie parę wilków i udusi konia na wsi na gminnem pastwisku, to za to ma odpowiadać również dzierżawca polowania, który nawet nie posiada lasu, tylko dzierżawi jedynie polowanie na gminnych polach? Czyż za te dziki, których u mnie w lesie niema, a które przychodzą tylko przez las od sąsiada, również mam odpowiadać, jako dzierżawca gminnego polowania? — odrzekłem na to wójtowi *).

— To prawda, rzekł wójt, dlatego ludzie na wsi nie winią pana, ale chcą tylko, aby pan zaradził temu, by dziki nie przychodziły na pola.

Wiedziałem, że mieszkańcy wsi pilnują do późnej nocy, swej kukurydzy, palą w polu ognie i od czasu do czasu trąbią i hukają, lecz mimo to, dziki co noc buszują po polach i robią rzeczywiście dotkliwe szkody.

Cóż jednak mogłem na to poradzić? Czy miałem zagrodzić las na przestrzeni paru kilometrów, by nie puścić dzików na pola? — To było przecież niewykonalne. Byłem więc w ambarasie. Należało jednak działać, aby uspokoić wzburzonych właścicieli pól kukurydzianych i uniknąć komisyjnego oszacowania szkód, coby bez wątpienia nastąpiło, gdyby wieś wniosła skargę na mnie do starostwa. Namyślałem

*) Rozważania na tle dawniej obowiązujących przepisów prawnych (Przyp. Red.).

się przez chwilę, co w tym wypadku robić. W końcu wpadłem na pomysł — urządzić polowanie nocne z naganką na koniach, z pochodniami i możliwie najhałaśliwszymi instrumentami, a więc trąbami, rogami, bębnami i czynelami.

Powziętą myśl bezzwłocznie postanowiłem zamienić w czyn. Wszystko składało się dobrze. Księżyc świecił w pełni i czas był pogodny. Dzień sobotni, dobry był również do tej imprezy, którą zamierzałem wykonać za nadejściem nocy.

Poleciłem wójtowi, by zapowiedział we wsi, że dzisiejszej nocy urządzam obławę na dziki. Na ochotnika mają się stawić chłopcy na koniach, opatrzeni w instrumenty muzyczne, jakie kto ma i jakie wymyślić potrafi. Kto ma pochodnie naftowe lub smolne, ma je również przynieść z sobą. Punkt zborny, — tłoka gminna we wsi, o jedenastej godzinie w nocy. — Prócz tego, zmobilizowałem szesnastu fornali z pochodniami naftowemi i smolnemi, zaopatrzonych również w różne instrumenty, jak trąbki, rogi, gwizdawki, blachy i kosy stare, wiszące na sznurkach, po których uderzać można prętami żelaznymi, dla wydobycia donośnych dźwięków.

Komendę nad tem pospolitem ruszeniem cavalerii rusticanae, powierzyłem dwum młodym elewom gospodarskim, którzy konno mieli wyruszyć i wykonać ściśle, dane im przezemnie instrukcje.

Zająłem się sam ściągnięciem myśliwych. W czas wakacyjny było kilku akademików obeznanych z bronią. Znalazło się wkrótce dwanaście strzelb, potrzebnych do obstawienia stanowisk, aby dziki nie mogły się wymknąć z pola do lasu bez strzału.

Pola otoczone były zewsząd rzeką, nad którą rozciągała się półkolem wieś. W górze tego półwyspu, ciągnęły się lasy, z których dziki wychodziły w nocy na pola.

Wzdłuż lasu biegła szosa okopana głębokiemi rowami. Drogę tę musiały przejść dziki, aby wejść do lasu.

Na równej, białej drodze, w księżycową noc, można było widzieć dokładnie, nietylko wielkiego dzika, lecz nawet i małą mysz.

Był to więc idealny teren do nocnego polowania.

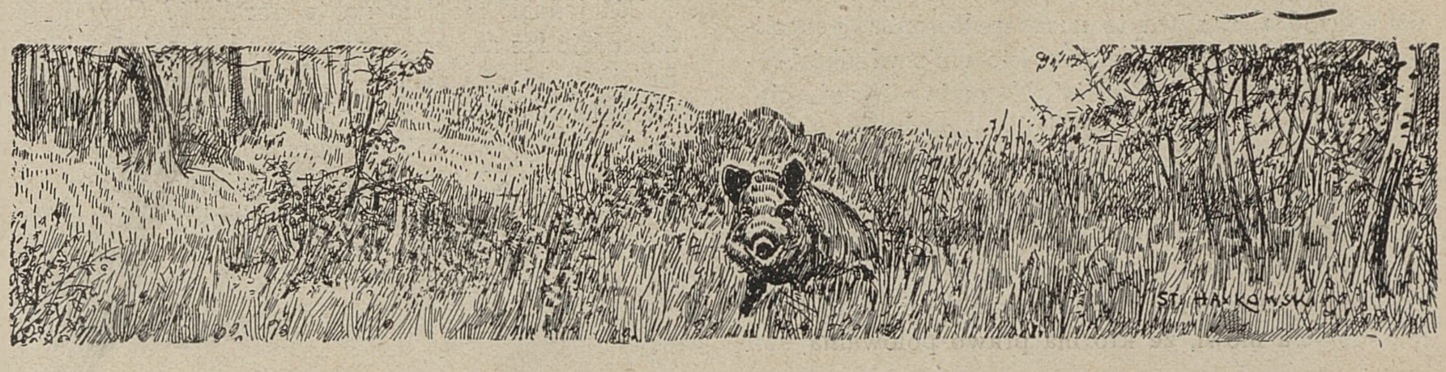
O godzinie 11-ej w nocy ruszyliśmy drabiniastym wozem na stanowiska. Nakazałem myśliwym zachować jaknajwiększy spokój i nie palić papierosów, by u czujnej zwierzyny, która mogła znajdować się w chwili odjazdu koło drogi, nie wzbudzić popłochu. Punkt o dwunastej, komendanci konnej naganki, rozciągniętej w linji paro-kilometrowej za wsią, strzałem rewolwerowym mieli dać hasło do zapalenia pochodni, które mieli jezdni. Drugie strzały, dane po chwili, gdy pochodnie zapłoną, były hasłem wyruszenia całej linji naprzód.

Rozstawiwszy myśliwych wzdłuż gościńca pod lasem, poleciłem, by do dzików strzelali tylko, gdy ujrzą je na szosie, bo wtedy strzał mógł być pewnym.

Na ciemnem tle pola zasianego oziminą, mimo że księżyc świecił na czystem niebie, strzały nie mogły być tak pewne, choćby ze względu na dalszą odległość. Stojąc na najwyższym punkcie pod lasem, na prawem skrzydle, usłyszałem z uderzeniem dwunastej godziny dwa strzały. Za chwilę błysły ognie zapalonych pochodni, po dwuch zaś danych, następnych strzałach, ruszyła cała falanga konna naprzód.

Zrazu nie było nic słychać, gdyż oddalenie naganki od strzelców, wynosiło pięć kilometrów. Niebawem jednak, gdy cała linja jeźdźców podjechała z dołu wyżej na pola, doszły mych uszów dzikie wrzaski, bębnienie, trąbienie i brzęk stalowych kos. Hałas i wrzawa nie ustawały na chwilę. Od czasu do czasu odezwały się tu i owdzie strzały.To chłopcy ze wsi, powyciągali ukryte przed żandarmerją krucice i teraz bezpieczni, palili z nich z uciechą.

Sądziłem, że skoro tylko dziki są w polu, to ten piekielny hałas, te płonące zewsząd światła, napędzą rabusiom kukurydzy, takiego strachu, że będą zmykać do lasu co im sił starczy. Tymczasem naganka zbliżyła się na mniej niż tysiąc kroków, a dzików widać nie było. Sądziłem, że właśnie tej nocy, przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, nie wyszły na nasze pola, lecz żerują gdzieś w innych stronach. Naraz z lewej flanki myśliwych huknął strzał jeden i drugi, i wkrótce na całej linji strzelców odezwały się strzały. Byłem tem wielce zdziwiony, gdyż jeżeliby moje polecenie było wykonane, tyle strzałów do dzików przechodzących szosę, byćby nie mogło. Widocznie dziki flankują przez pole, a przygodni myśliwi walą co wlezie, na wielki dystans do uciekających. Przekonałem się niebawem, że tak też było w istocie. Wkrótce ujrzałem po lewej stronie dwie duże, czarne plamy. Były to dwa stada dzików, może jakie trzydzieści sztuk. Dziki biegły w oddaleniu większem nad pięćset kroków, a pospolite ruszenie strzelało bez celu, tak sobie, w całe stado. Na szczęście moje, że mieli tylko gładkie lufy, gdyż w przeciwnym razie, jazda moja w nagance, byłaby w niebezpieczeństwie. Dziki wzięte w dwa ognie, nie wiedziały, co mają czynić. Trzymały się narazie środka między dwiema linjami strzelców i naganki,



to biegły wskok, to znów stawały, zbiwszy się w jeden kłąb, lecz zawsze oba stada trzymały się oddzielnie.

Tymczasem konna linja piekielnych muzykantów zbliżała się szybko do lasu. Jedno stado dzików stało przedemną na paręset kroków, drugie, nieco z boku. W stadzie, które miałem przed sobą, zauważyłem wielką sztukę. Musiał to być srogi odyniec, otoczony samicami i wycinkami, podświnkami i warchlakami. Nie przewodził on jednak w stadzie, lecz trzymał się z boku. Przewodnictwo, jak zwykle, dzierżyła i tym razem, najstarsza samura. — Kiedy konni podjechali tak blisko do stada, że ujrzeli je przed sobą, wszczął się tak piekielny hałas, że nie żywy dzik, —- lecz domowa świnia musiałaby ze strachu zmykać co sił starczy. Dziki ruszyły z kopyta. Pierwsze stado biegło prawie na mnie. Miałem również tylko dubeltówkę nabitą „Breneckami", bo ze stucera po nocy, do biegnącej zwierzyny strzał jest bardzo niepewny. Stado zbliżając się pod las, poszło w rozsypkę. Tylko warchlaki trzymały się loch i szły za niemi gęsiego, reszta starszych sztuk rozproszyła się po polu i co sił gnała do lasu.

Odyniec biegł najbliżej koło mnie. Miałem go wciąż na oku. Gdy dobiegł do fosy, dał susa i stanął na mgnienie oka na środku szosy, gotując się do skoku przez rów od strony lasu. Tę sekundę jego nieruchomej pozycji wykorzystałem i mierząc poza przednią łopatkę, w śordek korpusu, — wypaliłem. Odyniec po strzale, zwalił się jak kłoda, na szosę. Czekałem, czy się podniesie, nie próbując z drugiej lufy strzelać do uchodzących koło mnie, dzików.

Prawie równocześnie z moim strzałem, padł strzał drugi mego sąsiada. I ten strzał był celnym; tęgi wycinek był również na szosie. Polowanie było skończone z nadspodziewanym wynikiem. Nie miałem żadnej nadziei na te nocne łowy, których pierwszy raz w swej rozległej praktyce myśliwskiej spróbowałem. Okazało się jednak, że gdyby stanowiska obsadzone były doświadczonymi myśliwymi, mogło na rozkładzie znaleźć się kilka dzików.

„Pospolite ruszenie" na rabusiów nocnych chłopskiej kukurydzy, jak się przekonałem, nie było złym pomysłem, obliczonym pierwotnie tylko na to, aby okazać gminie, że dbam, by gospodarze nie ponosili szkód robionych im przez dziki. Nie miałem jednak najmniejszej nadziei, by ta nocna eskapada dała w rezultacie tak niespodziewanie dobry wynik. Po załadowaniu ubitych dzików na wóz, jechaliśmy otoczeni konną banderją, która z płonącemi pochodniami towarzyszyła nam do wsi.

Ciekawi mieszkańcy wioski oczekiwali naszego powrotu na gminnej tłoce. Gdy się wieść rozniosła o ubiciu dwóch dzików, uciechom nie było końca. Na zakończenie pomyślne tych nocnych łowów, poleciłem wynieść parę garncy siwuchy i zakąski dla uczestników naganki. Wnet znalazły się skrzypki i cymbały. Zwabione muzyką dziewczęta zjawiły się, jak na zawołanie. Przy blasku księżyca oraz płonących pochodni, zaczęła się zabawa. Tańczono wesoło do białego dnia. Od tej pory miałem spokój z dzikami. Nie wychodziły po tem polowaniu więcej z lasu. Ucichły narzekania włościan na robione w polu szkody.

LEON STARKIEWICZ.



Drużyna polska z prezesem pułk. K. Chłapowskim na czele. Do art. „Międz. turn. strzel. w Sopotach" na str. 630.

Z MOICH WYPRAW ŁOWIECKICH POZA KRAJEM.

POLOWANIE NA PANTERY W AZJI ŚRODKOWEJ.

Zarząd Taszkienckiej dr. ż. w Orenburgu wysyłał co rok przedwiosenną ekspedycję techniczną ku Taszkientowi dla zbadania toru i zabezpieczenia go od uszkodzeń, jakieby mogły zrządzić wylewy rzeki Syr-Darji.

W lutym 1909 r. przewodniczącym takiej wyprawy został naznaczony mój serdeczny przyjaciel, b. zdolny inżynier, kurlandczyk Karol R., niezmiernie sympatyczny, młody człowiek i zawołany myśliwy o daleko idących ambicjach. Polowaliśmy zawsze razem i nieraz opijali bruderszaft, przyczem go nazywałem dla skrócenia baronem, z czem się prędko oswoił.

Baron wiedział, że przy tej wyprawie można zapolować na pantery, porozumiał się przeto z doskonałym myśliwym, zawiadowcą stacji Kazatinsk, skąd miały się rozpocząć badania, ażeby mu jakie polowanie, jeżeli są pantery, urządził. Jakoś wkrótce otrzymał depeszę, że są 3 pantery i polowanie będzie gotowe.

Ja udział wziąć musiałem, gdyż baron, jak twierdził, bezemnie polować nie umie, a na nim, obok istotnie serdecznego stosunku, dużo mi zależało. W owym czasie miałem biuro techniczne w Orenburgu z dużemi dostawami na kolej Taszkencką, w czem mię baron zupełnie bezinteresownie przez swe wpływy skutecznie popierał.

Ekspedycja urzędowa składała się z barona, dwóch inżynierów pomocników, z któdych jeden nawet myśliwy, i dwóch techników drogowych. Ażeby wycieczki nie rozdzielać, mnie i inteligentnego a b. bogatego dostawcę drzewa dla drogi, niejakiego Oresta Michajłowicza K., kazał Karol R. wpisać na listę komisyjną, jako prywatnych eksporterów-dostawców, i 18 lutego, w środę rano, stanęliśmy w Kazatinsku. Po krótkim wypoczynku inżynierowie udali się na drezynach na badania, które miały narazie potrwać dwa dni; polowanie przez to zostało odłożone do piątku.

Ja i Orest Michajłowicz, który pojechał na te łowy z warunkiem, że on sam finansuje polowanie, zostaliśmy na stacji dla zarządzenia przygotowań do tego.

Oprócz kieszeni, było to zbyteczne, gdyż b. uprzejmy zawiadowca st., oficer piechoty w rezerwie, i jak się okazało, niezrównany organizator łowiecki, miał już wszystko gotowe. Zamówił 100 konnych kirgizów, którzy pomoc dawali bezinteresownie, najął 2 ruskich myśliwców przemysłowców, z 40 psami specjalnie tresowanymi do tamtejszych łowów, zamówił nawet tarantasy — tatarskie, długie, lekkie i b. wygodne do polowań, wózki wyjazdowe.

Zaraz w środę wysłaliśmy myśliwców z psami na punkt zborny, a zawiadowca wysłał zarazem swego znajomego, większego fermera z okolicy, doskonałego myśliwego, znającego przytem teren łowów i zwyczaje panter. Po wypoczynku i spędzeniu przyjemnego wieczoru, ażeby we czwartek długą chwilę skrócić, wyjechałem z Orestem Michajłowiczem na ptactwo. Zabiliśmy 14 bażantów, a ja w dodatku wspaniałego orła z gór Himalajskich, który ozdobił potem mój gabinet.

W piątek o godz. 6 rano podano konie i wyprawa ruszyła na łowy. Udział brało 6 myśliwych: ja, baron, Orest Michajłowicz, inżynier, pomocnik barona, zawiadowca stacji i fermer. Była gęsta mgła, która zasłaniała narazie cały widnokrąg, lecz się później rozeszła.

Uroczysko, gdzie mieliśmy polować, było odległe o jakieś 50 kilometrów, znakomite jednak konie stepowe szły jak wiatr, tak, że bez żadnego wypoczynku o g. 9 i pół stanęliśmy na miejscu. Oczom naszym przedstawił się iście wojenny obrazek: stu konnych kirgizów, dość obdartych, uzbrojonych po części w jakieś stare piki kozackie, większość w drągi najrozmaiciej okute, a nawet i bose, stało w zwartym czworoboku, kilka dymiących ognisk oblegały psy, gapiące się apatycznie w ogień, kilka baranich szkieletów, doszczętnie ogryzionych przez psiarnię, a przy jednem z ognisk dwie duże butelki od wódki, które ruscy myśliwcy-przemysłowcy zdążyli już doszczętnie opróżnić.

Zawiadowca, oficer piechoty w rezerwie, jak się okazało, był znakomitym organizatorem takich wypraw, w czem mu dzielnie dopomagał fermer. Z karabinem, prawodpodobnie jeszcze ze służby w wojsku, na ramieniu, objął natychmiast komendę.

Do miejsca łowów trzeba było podjechać z 8 kilometrów, a potem jeszcze ze dwa iść pieszo. Były tam dwie pantery, zapewne flirtująca para, gdyż nocami rozlegały się ich pomruki i miauki, co dało możność kirgizom dokładnego ustalenia ich legowisk. Widocznie nie zeszły się jeszcze na dobre, gdyż schroniska ich były oddalone od siebie o jakie 3—4 kilometrów.

Atak rozpoczęliśmy od samicy, tak twierdził zawiadowca i fermer. Kryjówka jej leżała na pół kilometra długim, dość niskim pagórku, otoczonym z boków długiemi dolinami. Wzgórze porosłe zwartym; kolczastym gąszczem. W końcu tego pagórka ciągnęła się dość duża dolina, pokryta połamaną i prawie udeptaną, starą trzciną. Za tą przerwą ciągnął się dalej ten sam pagórek z gąszczami, była to więc tylko jakaś przerwa. Właśnie pod tym drugim pagórkiem, twarzami do doliny zawiadowca ustawił w pewnem ukryciu, wszystkich nas myśliwych w odległości jakich 50 kroków jeden od drugiego. Kirgizom kazał jechać po bokach wzgórza legowiskowego, a psy puścić z tyłu w knieję. Nie mogę pominąć ciekawego sposobu, jaki zastosował tu zawiadowca, co dowiodło jego dokładnej znajomości charakteru tych drapieżników. Postawił on na bokach doliny, z jednej i drugiej strony, po chłopie, których mu zapewne dostarczył fermer. Każdy z nich miał dość duży kawał blachy zwyczajnej, dachowej i białą chorągiewkę, osadzoną na dość długim kiju. Trzeci taki blacharz stał w gąszczu na pagórku za nami, nie miał jednak chorągiewki..

Według rozporządzenia dowódcy, strzelać nie wolno było dalej jak na 50 — 60 kroków i to stojąc, ażeby nie ranić naganiaczy.

Staliśmy tak ze dwadzieścia minut, ja między baronem a zawiadowcą; naraz wszczęło się ujadanie psów w gąszczu, a po 5 minutach wyskoczyła śliczna, giętka jak żmija, pantera. Stanęła, wyprężyła się, obrzuciła badawczym wzrokiem dolinę, poczem ruszyła w ogromnych skokach wprost na strzelców. Nie wiem, czy którego z nas zauważyła, czy z innej przyczyny, w połowie drogi zboczyła na lewo i nie zmniejszając susów, szła dalej. W tej chwili odezwał się łomot blachy, zwierz stanął, wykręcił się i pogalopował już wprost na nas. Szedł na sztych do barona. Już dzieliła nas przestrzeń z 50, 60 kroków, a tu znowu ścił zwierza na jakieś 10 kroków i z zimną krwią wpakował mu kulę między oczy. Kot skłębił się i zaczął się wić w agonji. Podbiegłem do Karolka i uścisnąłem mu dłoń na dowód zachwytu.

Zaczęli przybiegać i inni, zjawił się i zawiadowca, któremu zrobiliśmy owację za istotnie mistrzowską organizację tego polowania. Dziękował, skromnie mówiąc: tak, ja znam dobrze pantery, wiem, co każda z nich myśli. 13 już nawet zabiłem. Przypuszczam jednak, że na tem się nie skończy; za chwilę może się zjawić samiec, a z nim gorsza sprawa. Zwykle i on unika spotkania się z ludźmi, lecz w okresie umizgań miłosnych jest wprost groźny, nie bacząc na nic, i zażarcie staje w obronie ukochanej. Słyszliście panowie, jak samiec po ryku zabitej odpowiedział zaraz



Drużyna ogólna. Do art. „Międz. turn. strzel. w Sopotach" na str. 630.

za nami zagrzmiała blacha. Pantera stanęła jak wryta, podniosła się i wyprężyła szyję, i ryknęła dwa razy chrapliwym głosem. Posypały się strzały, zwierzę zrobiło prawie prostopadły skok na jakieś dwa metry w górę i upadło na ziemię. Widać było, że pantera zraniona jest silnie, ale nie śmiertelnie, bo przylgnęła do ziemi, i, jak kot czający się na zdobycz, zaczęła się posuwać dość jeszcze szybko ku baronowi. Podskoczyłem o jakieś 20 może kroków i strzeliłem. Celowałem dokładnie, broń miałem pewną, chybić nie mogłem. Brałem na komorę, kula jednak nie zaczepiła widać o serce, zwierz szedł dalej. Spojrzałem na barona, stał jak mur, z lufą wzniesioną na panterę. Podbiegłem do niego bliżej, nabijając po drodze sztucer, aż tu rozległ się strzał. Baron przypu- rykiem. Tak, ozwali się wszyscy, ale wzięliśmy to za echo. Nie, to nie echo, mówi zawiadowca, to odpowiedź, że idzie kochance na ratunek. Trzeba być ostrożnym i trzymać broń na pogotowiu. Tymczasem kirgizi zjechali się w dwie grupy z obu stron legowiskowego gaju, podjeżdżać jednak nie śmieli, bo im zawiadowca zabronił, gdyż przez głupią zemstę pikami podarliby skórę na zwierzu już zabitym, a rozkaz zawiadowcy był dla nich święty. Tylko jeden miał pozwolone skonstatować śmierć szkodnika i ten podjeżdżał ku nam bokiem polany. Naraz wszczął się tumult i kirgizi zaczęli tłumnie uciekać w tył. Zawiadowca zawołał z cicha: na stanowiska, po dwóch, pantera! W mgnieniu oka wszyscy cofnęli się na posterunki, a kirgiz, jadący ku nam, puścił się

co koń wyskoczy, na środek polany. Za nim w szalonych skokach pędziła olbrzymia pantera, nie dotykając prawie ziemi. Przeszło zaledwie kilkadziesiąt sekund, a potwór już, zamiast kirgiza, siedział na koniu i wpił mu w kark potężne zęby. Koń pędził jak warjat, jakiś czas ku nam, lecz wkrótce padł na kolana, wyciągnął zakrwawioną szyję i przewrócił się w końcu na bok. Dzieliła nas odległość nie więcej jak sto kroków. Pantera leżała przez chwilę przy szyi końskiej, zdawało się, że ssie krew, lecz wstała, oparła przednie łapy na kadłubie końskim, wyprężyła się i z zakrwawionej gardzieli wydała potężny ryk, jak głuchy pomruk burzy.

Wspaniały obrazek; byłem zachwycony. Wieleż w tym ryku zlało się uczuć: I władczy tryumf księcia dżungli, i głos rozpaczy po kochance, która już odpowiedzieć nie mogła, i harde wyzwanie na bój zemsty, osttani pojedynek na śmierć lub życie. Takiego widoku nie miałem nigdy i do śmierci mi z przed oczu nie zejdzie. Zapomniałem wprost, że mam sztucer w ręku.

Mniej poetycznie był nastrojony mój najbliższy sąsiad-zawiadowca. Spojrzał spokojnie na wbity obok, bagnet w ziemię, oparł lufę na gałęzi krzaka, co i ja też zrobiłem, i rozległy się dwa strzały, a za nimi reszta. Zwierz runął jak martwy, na konia, lecz zaraz spełzł na ziemię i tak, jak poprzedni, przylgnął do niej i zaczął się czołgać w stronę zarośli, skąd wyszła samica. Wszyscy myśliwi wybiegli w pogoń za nim, padały poszczególne strzały, choć zdaje się, nie pod ich wpływem pantera wkrótce rozciągnęła się, jak długa, na ziemi.

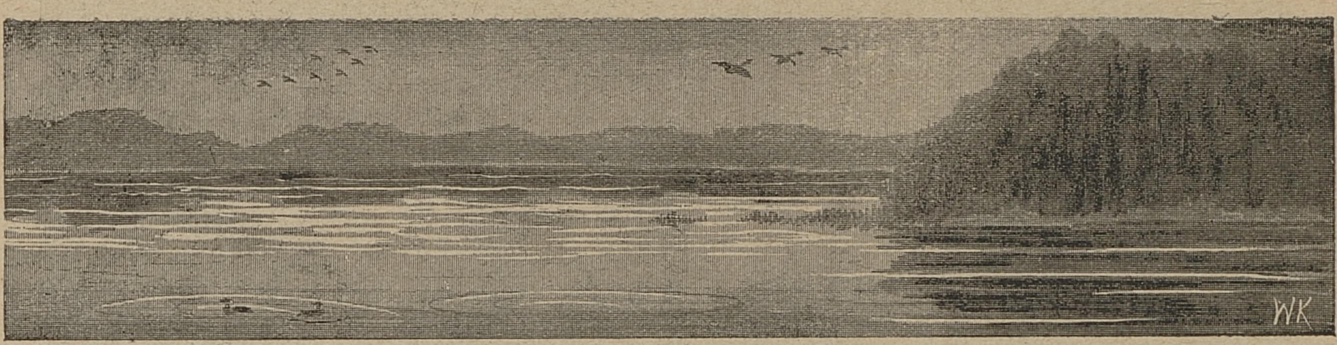
Podbiegliśmy do kirgiza, leżał już bez duszy, miał wyrwane czoło i rozpruty widocznie łapą brzuch. Koniowi pantera przegryzła całą górną część szyi i podruzgotała nawet kręgi. Był to olbrzymi samiec, a pierwsza istotnie, jak określił zgóry zawiadowca, była mniejsza samica. Kto zabił samca, trudno określić; miał kilka kul w sobie, ja głosowałbym za zawiadowcą, strzelał bowiem znakomicie i z zimną jak lód, krwią.

Tymczasem uciekający kirgizi dali znać naszym woźnicom, że pantery są zabite, i podjechali po nas. Po naładowaniu na kibitkę, ciężkich cielsk, ruszyliśmy w powrotną drogę.

Na stacji zastałem depeszę, aby natychmiast wracać do Orenburga, co, po złożeniu podziękowań wszystkim, uskuteczniłem najbliższym pociągiem.

Baron bezemnie stracił już chęć do dalszych łowów, a podobno trzecia pantera także się gdzieś dalej wyniosła, gdyż i ona musiała robić umizgi do tej samej samicy, tak, że nic nie straciliśmy.

OMT.



JESZCZE W SPRAWIE „GORDONÓW.

Po przeczytaniu w Nr. 25 „Łowca Polskiego" artykułu p. t. „O gordonach jeszcze słów kilka" (str. 508), nie mogłem oprzeć się pokusie, ażeby nie skorzystać z podanych w tymże artykule przez p. Kalm-Podoskiego, adresów i nie napisać do wymienionych przez niego hodowców tej doskonałej i pięknej rasy, która jak u nas, prawie że doszczętnie wyginęła.

Pan Kalm-Podoski podał w swym artykule dwa adresy znanych mu hodowców, a mianowicie:

1) przewodniczący niemieckiego klubu miłośników psów angielskich — pointerów i setterów, Hubert Schröfl w Monachjum — Ottostrasse Nr. 7,

2) hrabia Strachwitz w Gross - Stein (Deutsch-Oberschlesien).

Ponieważ sprawa gordonów szczególnie mnie interesuje, jako legawców nadających się znakomicie do naszych warunków myśliwskich, napisałem więc do tych panów, prosząc o bliższą informację dotyczącą ich hodowli. Obydwa listy swoje wysłałem 24 czerwca b. r., a już 29 czerwca otrzymałem uprzejmą odpowiedź od pana Schröfla z Monachjum, którą poniżej dla wiadomości p. p. myśliwych w tłumaczeniu polskiem przytaczam:

„Wielce Szanowny Panie! Potwierdzając odbiór listu Sz. pana z dnia 24 b. m., uprzejmie komunikuję, że narazie nie mam młodych gordonów na zbyciu. Z psów starszych znajduje się obecnie w mojem posiadaniu, jedynie tylko suka „Derna von Schlossgut Erching", ponieważ druga moja zarodowa suka „Draga von der Klause" niedawno mi padła. Sukę swoją „Dernę" mam zamiar przesłać do pokrycia w początkach listopada, dopiero więc w początkach stycznia p. r. spodziewać się mogę potomstwa. W celu jej pokrycia mam już upatrzonego dla niej psa „Bravo", prześlicznego i b. dobrego, użytkowego gordona, należącego do hrabiego Solms-Laubach.

Suka „Derna" nie pochodzi z mej własnej hodowli gordonów, pochodzi jednakże z psów wyhodowa-

nych i sprzedanych już dawniej przezemnie. Suka ta otrzymała następujące odznaczenia:

I nagrodę na wiosennych próbach polowych młodzieży, odbytych w Rüsselheimie w 1928 roku,

II nagrodę na jesiennych próbach polowych, odbytych w Norymberdze w 1928 roku,

I nagrodę na próbach polowych i leśnych, psów starszych, a odbytych w Hengersbergu w 1929 roku. Były to próby, jakie urządzał ostatnio tutejszy klub miłośników psów angielskich.

Osobiście nie przywiązuję żadnej wagi do sprzedaży szczeniąt, hoduję bowiem z zamiłowaniem swoje gordony, przeważnie dla siebie samego, zbywające zaś, 6-tygodniowe szczenięta odstępuję jedynie tylko prawdziwym myśliwym, w nadziei, że one rzeczywiście umiejętnie i po myśliwsku potraktowane będą. Mając na względzie swoje własne wydatki, związane z tą hodowlą, ustanowiłem cenę pieska na 70 marek, suczki zaś na 60 marek. Jeśli Sz. Pan zechce mieć pieska lub suczkę z mojej hodowli, to proszę uprzejmie o rychłą decyzję.

Jako dowód, że moje psy odpowiadają wszelkim wymaganiom myśliwskim, jakim te psy w zupełności podołać są zdolne, służę następującą informacją:

W 1929 roku na różnego rodzaju konkursach, przeprowadzonych w Hengersbergu, aż sześć gordonów pochodzących z mej hodowli, brało czynny udział. Właściwie było ich zameldowanych siedem psów, z których jedną sukę wymeldowano z przyczyny okaleczonej łapy (Afra v. d. Klause, matka mojej obecnej Derny, która w poprzednim, 1928 roku, zdobyła na jednym z konkursów I nagrodę).

Z owych sześciu psów — wszystkie zdobyły chlubne odznaczenia, a między nimi moja własna suka Derna — najwyższą nagrodę; Claus v. d. Klause — I nagrodę; Cato i Draga v. d. Klause — po III-ej nagrodzie; Berti v. d. Klause — II nagrodę;; Dina v. d. Klause — II nagrodę.

Zapytuje Sz. Pan w sym liście, czy moje gordony rzeczywiście odpowiadają wszelkim polowym zaletom tej pięknej, użytkowej rasy?

Otóż wyżej wymienione odznaczenia, otrzymane przez psy, tak moje własne, jak też i psy pochodzące z mojej hodowli, dostatecznie chyba powyższe stwierdzają, a to tembardziej, iż regulamin tychże konkursów jest, jak u nas w Bawarji, bardzo wymagający. Naturalnie kształcę te swoje własne psy zawsze tak, ażebym mógł w zupełności ich zdolność, oraz zalety, należycie wykorzystać na posiadanych przezmnie, różnorodnych terenach myśliwskich. Muszą więc one umiejętnie pracować w polu, jak też w lesie i w wodzie.

Od gordona nie można naturalnie wymagać w polu tak lekkich i szybkich chodów, jakimi pointery zazwyczaj się odznaczają, jest i on jednak bardzo wytrzymały w swej każdej pracy, a że nie kształcę go na fildtrialera, musi wszystko prawidłowo aportować, a więc zarówno ptaka, jak też i wszelaką inną upolowaną przezemnie, drobniejszą, czworonożną zdobycz. Na tropie sprawowały się wszystkie moje gordony zawsze jaknajlepiej i mogę powiedzieć, że właśnie ich pewność i roztropność w czasie tropienia, jest czysto wrodzoną zaletą tejże rasy psów. Do wody chodzą bardzo chętnie, a niektóre nawet wprost odwołać z wody jest trudno.

O ile tę rasę psów dokładnie wystudjowałem, to odznacza się ona przeważnie miękkiem usposobieniem, a dlatego bezwarunkowo nie można gordonów bić i katować, tak jak np. psy niemieckie, a na odwrót, trzeba się z nimi obchodzić możliwie zawsze jaknajłagodniej, lecz przytem stanowczo. Treser, którego popełniony przez psa błąd wyprowadza z równowagi i który gniew swój na psie swym z tegoż powodu zbyt nieoględnie wywiera — niechaj nigdy nie nabywa sobie gordona, może go bowiem odrazu tak popsuć, że do niczego nie będzie już zdatny.

Co do ostrości psa, to osobiście nie przykładam do tego żadnej wartości, choć i pomiędzy psami pochodzącymi z mojej hodowli, trafiały się bardzo często psy nadzwyczaj cięte, duszące wszelkie drapieżniki szybko i sprawnie, jednakże moje miejskie warunki, do których przystosować się jestem zmuszony, nie pozwalają mi na posiadanie psa-dusiciela, mógłbym bowiem łatwo narazić się na grube nieprzyjemności, a dlatego nie pozwalam psom swoim nigdy atakować domowego kota, ażeby nie miewać nieprzyjemnych zatargów sąsiedzkich. Natomiast znałem gordony innych myśliwych, które z zaciętością wielką dusiły sprawnie nawet i lisa.

Przy umiejętnem obchodzeniu się oraz postępowaniu tresera, każdy rasowy wyżeł staje się z czasem dobrym, użytkowym psem. Aportować powinny wszystkie gordony, do czego posiadają nawet spory zasób wrodzonych zdolności, lecz tu właśnie przekonałem się niezbicie, że naukę aportowania przejść jednak winny za pomocą tresury par force, i uważam za wskazane, ażeby treser w czasie powyższej tresury, koniecznie posiłkował się obrożą dławiącą, zaopatrywaną w razie potrzeby nawet w kolczastą, sprężynową wkładkę, a stanowczo unikał bicia psa, gdyż, jak już zaznaczyłem, to tego gordony wogóle nie znoszą.

Jeśliby Sz. Pan reflektował na szczenię z mej hodowli, to proszę uprzejmie o rychłe zawiadomienie mnie o tem. Wyżej podane przezemnie ceny za szczenięta rozumieją się loco moja psiarnia, przyczem za transport do Polski, żadnej, w obecnych czasach gwarancji przyjąć na siebie nie mogę.

Najchętniej widziałbym, ażeby Sz. Pan, gdy czas po temu nadejdzie, osobiście po psiaka do Monachjum się zgłosił, a przy tej sposobności z miłą chęcią służyłbym jeszcze wieloma innemi informacjami, dotyczącemi gordonów, i jednocześnie pokazałbym kilka bardzo pięknych egzemplarzy tej pięknej rasy.

Z należytym szacunkiem oraz Weidmannsheil

(—) H. SCHROEFL

Tego rodzaju uprzejmą i prędką odpowiedź otrzymałem od wyżej podpisanego, na drugi zaś list pisany jednocześnie w tejże sprawie do hrabiego Strachwitza, nie mam, jak dotąd żadnej jeszcze odpowiedzi, jeśli zaś ją otrzymam, wtedy nie omieszkam przesłać ją równie do Szanownej Redakcji, a być może, iż powyższe wiadomości niejednego z p. p. myśliwych jednak zainteresują.

Turek, dnia 6 lipca 1930 roku.

EMIL KARNEY



MANNLICHER SCHÖNAUER KAL. 6,5.

Pod tym tytułem ukazał się w „Deutsche Jägerzeitung" artykuł, w którym autor stanowczo oświadcza się przeciwko używaniu tej broni na jelenie, uważając ją za wystarczającą na rogacze.

Godząc się w zupełności na wywody autora, podam pokrótce jego tok argumentacji.

1. Pewien znajomy autora zabił z tej broni w ostatnich latach większą ilość rogaczy i sześć jeleni bez żadnego, godnego uwagi — zdarzenia. Zeszłego roku na rykowisku strzelał do jelenia na krótką metę. Zwierz strzału nie kwitował, farby nie było ani kropli, poszukiwanie bez tropowca nie dało żadnego wyniku — strzał uznano za chybiony. Po pewnym czasie znaleziono dziesiątaka o 60 kroków leżącego — w stanie rozkładu.

2. Ten sam myśliwy strzelał na ubiegłem rykowisku z tej samej broni jelenia. Zwierz kwitował, obrócił się na miejscu i uszedł. W pewnej odległości (ze wzgórza był przez myśliwego widziany) stanął, rozglądał się bacznie i wolno odszedł do sąsiedniego rewiru. Na nastrzale nic ciekawego nie było widać, dopiero nieco dalej rzadkie ślady — ciemnej krwi płucnej. Zamiast pozostawić jelenia w spokoju tam, gdzie się położył, myśliwy poszedł śladem, ruszył go i tropił, póki tropu nie stracił, jeleń bowiem przestał farbować. Oczywiście—skończył gdzieś w gąszczach, podobnie jak i dwie łanie w ten sam sposób strzelane.

Smutne to, że podobne rzeczy dzieją się w dużych dobrach, gdzie odstrzał wynajęty był czterem panom, i że ci panowie mając prawo odstrzału 40 — 50 sztuk, nie postarali się o dobrego tropowca.

W czasopiśmie „Wild nud Hund" Nr. 5 z roku 1927 zamieścił stary i wytrawny myśliwy — hr. Leopold Nostitz-Bineck artykuł p. t. „Bezskuteczny strzał niski—na komorę" (Ein wirkungsloser Kurzblattschuss), gdzie mówi: Dnia 29 września 26 r. udało mi się podejść na 60 kroków ósmaka, który na porębie ryczał, poczem pasł się spokojnie z łanią i cielakiem. Jeleń kiwtował strzał dobry na komorę, uszedł jednak po pochyłości ku świerkowemu zagajnikowi, po za którym były młode, kilkuletnie kultury. Obszedłem zagajnik dokoła i ujrzałem w kulturach pasącą się łanię z cielakiem. opodal zaś w trawach leżał mój ósmak.

Zacząłem go tedy podchodzić ostrożnie, przyczem przejść mi wypadło przez małą dolinkę. Zanim doszedłem na miejsce, jelenia już nie było; po krótkiem poszukiwaniu znalazłem farbę i poszedłem tropem. Pod górą w gęstwinie słychać było, jak znów zaległ. Idę dalej. Podniósł się i ostrem tempem uszedł. Zwołałem straż leśną i w pięciu — przy pomocy tropowca przeszukaliśmy i tę i następne gęstwiny — daremnie. Ślad zaginął — jeleń przestał farbować.

Dnia 7 października nieco opodal tego miejsca, gdzie nam poprzedni ślad zginął — podchodziłem innego jelenia ryczącego zrzadka. Nagle widzę, że mija mnie o jakie 100 kroków dobry ośmak. Kwitował dobry strzał, lecz zniknął w gęstwinie, nie farbując. Posłałem natychmiast po psa i znalazłem jelenia już martwego. Któż opisze moją radość, gdy przekonałem się, że jest to mój postrzałek z 29 września. Przy oględzinach okazało się: dawna kula weszła z prawej strony między 5 a 6 żebrem, przeszła płuca, przebiła 6 żebro na lewej stronie i wyszła o 4 cm. wyżej. Rana była czysta bez materji i prawdopodobnie niedługoby się była zagoiła. Strezlałem z Manl. Schoenauera 6,5 kulą ekspansywną, która się wcale nie zdeformowała.

Nie mogę tu ukryć zdziwienia, że doświadczony myśliwy, jakim jest autor powyższego artykułu, mógł popełnić podobny błąd, iż szedł za strzelonym jeleniem i dwukrotnie go podnosił. Gdyby go był zostawił w spokoju, a gęstwinę otoczył swą strażą leśną, napewno byłby ktoś postrzałka dokończył.

Sądzę, że powyższy przykład przemawia dość jasno przeciw małemu kalibrowi, o ile chodzi o zwierzynę szlachetną.

Ze swej strony dodałbym,co następuje:

Że Manl. Schönauer 6,5 nie jest bronią na zwierzynę grubą — nie ulega wątpliwości. Osobiście jestem wrogiem broni magazynowej, nie posiadam jej, chociaż używają jej wszyscy niemal moi goście, którzy u mnie strzelają rogacze. Otóż miałem smutną sposobność przekonać się, że prawie trzecia część strzelanych kozłów przepadłaby marnie, gdyby nie było pod ręką, dobrego psa. Mogę być tylko tym panom wdzięczny, że dają mi możność dobrego zaprawienia na farbę, mego wyżła.

Kula małokalibrowych broni, przy znacznej szybkości początkowej i twardym płaszczu, a rdzeniu z nieznacznie obnażoną główką — przechodzi przez ciało zwierza bez deformowania się, rozwijając swą niebezpieczną energję daleko po za celem.

Z szeregu nieszczęśliwych strzałów do rogacza — przytoczę tu jeden. Podczas tegorocznego bekowiska przyjechał do mnie dr. Sz. z Manl. Schönauerem 6,5. Jest to dobry myśliwy, rewir mój zna dobrze i lubi ranne podchody. O 4 rano siedział już na wysokiej, nadziemnej zasiadce i z pierwszym brzaskiem zawabił.

Po chwili przyskoczył na strzał, dobry kozioł i został w ogniu. Mój gość schował go i około 6 godziny zawabił w wysokim lesie, który przechodząc w drągowinę, kończył się gęstwiną. I znów przyskoczył kozioł i stanął lewym bokiem na sto kroków w drągowinie. Padł strzał, kozioł nie kwitował i zniknął. Farby ani śladu, jeno pieniek, 8 cm. gruby, który — jak doktór twierdził, — stał przed kozłem, przebity na skroś. Około 8 godz. przyszedł doktór na śniadanie i opowiedział mi o chybionym strzale. Coś mnie tknęło. Postanowiłem razem z doktorem udać się na miejsce i polecić swemu Kurtowi zbadanie sprawy.

Przestrzelony pieniek znaleźliśmy łatwo — a, że do wabienia stawiam specjalne kosze — udałem się w przedłużeniu linji „kosz-pieniek", prowadząc Kurta na rzemieniu. Na jakie 20 kroków od pieńka — przywarł Kurt nosem do ziemi — głośno wietrząc. Patrzymy — śladu żadnego niema. Las tworzy w tem miejscu kąt prosty, zamknięty z lewej i prawej strony gęstwinami. Doktór twierdzi, że kozioł szedł w lewo, i Kurt mnie też w lewy gąszcz prowadził, lecz spostrzegłem, że zaczął się wahać i chce zawrócić. Spuściłem go z rzemienia. Galopem wrócił do nastrzału i wolniej już, z nosem przy ziemi szedł ze 20 kroków ku nam, poczem pod ostrym kątem zboczył na prawo i zniknął w gęstwinie. W głębokiem milczeniu staliśmy na miejscu, czekając, co najbliższe chwile przyniosą, a chwile te wlokły się jak godziny. Ponieważ pies nie wracał, byłem pewien, że jest na tropie, tylko powoli pracuje z powodu małej ilości farby. Nagle doleciał nas ostry, wysoki dyszkant psa. Aha! Już go ma! Zbada go, obwącha, a przekonawszy się, że kozioł już sztywny i kończyć go nie potrzebuje, będzie donośnym basem przyzywał. Ale jak tu się dostać do niego? — W nocy padał deszcz, gąszcz mokry, więc — przemoczeni do nitki — z trudem znaleźliśmy drogę do psa i leżącego bez życia, kozła. Przy oględzinach okazało się: rana 12 cm. za łopatką, a więc dobra. Wstrzał i wystrzał zaledwie wielkości kalibru—kula więc przeszła przez pniak o 8 cm. średnicy i całe ciało kozła — nie deformując się. I proszę mi powiedzieć, coby się z kozłem stało, gdyby nie pies? W gąszczu na lewo, gdzie się kozioł skierował, przy obfitej rosie — niktby długo nie szukał — a w gąszcz na prawo, gdzie postrzałek leżał, wogóle niktby nawet nie wchodził — ot uważanoby strzał za chybiony — i tyle. A takich wypadków jest bez liku: strzelec bądźto nie przypuszcza nawet, że zwierzynę trafił, lub wiedząc o tem, a nie widząc farby, o postrzale zamilczy i zwierzyna nieszukana ginie.

Inna rzecz przy większym kalibrze. Jest nastrzał, jest farba, więc i poszukiwanie i znalezienie nietrudne. Ale przedewszystkiem dajmy zwierzynie postrzelonej 3 godziny spokoju na wykrwawienie i wyczerpanie, a strzelając nad wieczorem, odłóżmy poszukiwanie do rana. Tedy wniosek ostateczny: Manl. Schönauer 6,5 na jelenia nie nadaje się zupełnie — na rogacza tylko w rękach dobrego strzelca i z możliwością dobrego psa.

Zwolennicy tej broni powiedzą, że i z innego karabinku — większym kalibrem — można zwierzynę postrzelić — owszem przyznaję — lecz mam wtedy ułatwione poszukiwanie przy obfitem farbowaniu.

Wreszcie, czyż myśliwy, mogący pozwolić sobie na odstrzał jeleni, nie może zdobyć się na odpowiednią broń — choćby tenże Manl. Schönauer — ale odpowiedniego kalibru?

Z prawdziwą radością dowiedziałem się, że firma Roth w Bratysławiu rozpoczęła wyrób nowych kul walcowatych II. R. 27 1 D = dzielony rdzeń, R = Roth, 27 = 1927 r. Rdzeń składa się z kilku klinów miękkiego ołowiu, które po przebiciu ciała zwierzęcia rozwijają się w niem wichrowato, wywołując olbrzymie, wewnętrzne spustoszenie. Byłoby pożądanem, by firma wyrabiała te kule we wszystkich kalibrach, a nie, jak podobno dotąd, tylko 8,2 cm.

Gdybyśmy w poszanowaniu zwierzyny i litości nad nią takie czynili postępy, jak w technice amunicyjnej, byłoby wszystko w porządku.

Spolszczył WŁ. KARNKOWSKI.

Międzynarodowy Turniej strzelania do rzutków w Sopotach.

W dniach 14, 15 i 16 lipca r. b. odbył się na placu wyścigowym w Sopotach Międzynarodowy Turniej Strzelania do rzutków.

Kierownictwo zawodów spoczywało w rękach p. prezesa gdańskiego „Jagdschutzvereinu", senatora Runge'go, oraz pp. mjra v. Kampena i dyrektora Dixa.

Polska drużyna, która przybyła pod kierownictwem p. ppłk. rez. Konstantego Chłapowskiego z Mościejewa, z ramienia Polskiego Związku Stow. Łow. w Warszawie, składała się z pp.: Kiszkurny, Barańskiego, Zieleniewskiego, Sztukowskiego, Czerskiego, Goliszewskiego, Łyskowskiego i Ciążyńskiego.

Przy sprzyjającej pogodzie rozpoczęto strzelanie w poniedziałek, dnia 14; najpierw strzelanie t. zw. kartkowe (każda karta 10 rzutków) trzy najlepsze karty zwyciężają. W strzelaniu tem, które trwało aż do późnego wieczora, zdobył I nagrodę w klasie S mistrz Gdańska, p. v. Donap, a w klasie A zdobył I nagrodę rodak nasz, p. Czerski — Warszawa, w klasie C. p. dr. Ciążyński z Leszna.

W drugi dzień, we wtorek rozpoczęto punktualnie o godz. 9-tej strzelanie o mistrzostwo Sopot, i to w trzech klasach. Mistrzostwo Sopot zdobył 97 punktami p. Józef Kiszkurno, co przyjęli hucznemi brawami licznie zebrani zarówno polacy, jak i niemcy, którzy podziwiali wprost mistrzowskie strzelanie naszego mistrza. Pod wieczór rozpoczęto strzelanie drużynowe, i to w trzech drużynach: 1) drużyna gdańska (pp. v. Donap, v. Schönfeld, Schröter i Franz), 2) drużyna pomorska (pp. v. Hennig, v.

Bieler, Schilemann, Łyskowski — Komorowo), 3) drużyna warszawska (pp. Kiszkurno, Barański, Sztukowski, Czerski).

Trzeci dzień. Pierwsze strzelanie o nagrodę Kasyna zdobył w klasie S p. v. Hennig-Zakrzewo (99 pkt.), a w klasie A zajął trzecie miejsce p. Łyskowski. W strzelaniu pocieszenia 20 rzutków zajął pierwsze miejsce w klasie S p. Zieleniewski, a trzecie miejsce p. Goliszewski — Warszawa.

W południe zaczęło się strzelanie drużynowe, w którem zwyciężyła drużyna pomorska, i broniąc kolorów czerwono-białych, zdobyła cenny puhar, który ustawiony będzie w lokalu klubowym Wielkopolskiego Związku Myśliwych w Poznaniu.

Wspaniałą nagrodę (żubr z bronzu) ofiarowaną przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, zdobył najlepszy strzelec drużyny, p. v. Hennig — Zakrzewo.

Wieczorem odbyła się w lokalu hotelu Kasyna wspólna kolacja z paniami, na którą przybyli jako przedstawiciele władz, dyrektor kuracyjny miasta Sopot, baron v. Wechmar, prezydent policji, radca legacyjny Rittner i inni.

Konkursy Sopockie pod wielu względami mogły oddziaływać pouczająco na naszych zawodników, a mianowicie pod względem techniki strzelania. W pojedynczem strzelaniu odznaczali się niemcy wielką dokładnością i precyzyjnością w strzelaniu, w strzelaniu grupowem, szybkiem strzelaniem utrzymując równe tempo. To też zawodnicy nasi po ukończeniu strzelania stwierdzili, że wiele cennych nauk z Sopockiego strzelania wynieśli, co niezawodnie dodatnio się odbije na przyszłych naszych zawodach w kraju. Pewne lekceważenie, z którem niemcy się odnosili do zawodników naszych po zeszłorocznem strzelaniu,—po sukcesach tegorocznych zupełnie ustało, a przypisywać to trzeba przedewszystkiem temu, że w tym roku drużyna nasza miała opiekę przez kierownictwo, które energicznie i sprężyście broniło wszelkiego rodzaju zażaleń lub pretensji naszych strzelców, broniąc ich zarazem przed jakiemikolwiekbądź niesprawiedliwościami i pokrzywdzeniami.

OBSERWATOR.

LISTY DO REDAKCJI.

KUROPATWA NA JAJACH.

W dniu 8 lipca b. r. u mnie na polu przy koszeniu koniczyny, została wysieczona kuropatwa na jajach, która pozostała i tak się oswoiła, że można ją było sfotografować na dystans 75 ctm., co też uczyniłem, prosząc miejscowego naczelnika więzienia w Kaliszu, p. Stanisława Choińskiego o zdjęcie. Oryginalne jest, że pozwoliła mi się pogłaskać, a nawet zabłąkaną, maleńką, trzydniową kuropatwę przyjęła pod skrzydełko, które sam własnoręcznie uchyliłem.

KAZIMIERZ RASZEWSKI
Deleg. na pow. kaliski.

Z WARSZAWSKIEGO ZWIERZYŃCA.

W ogrodzie zoologicznym w Warszawie jest obecnie przeszło 800 sztuk zwierzyny i ptactwa najrozmaitszego, poczynając od najmniejszych gatunków, a skończywszy na lwach i słoniach.

Obok żubrów wielką atrakcją dla zwiedzających stanowią lwy, których jest 10, 2 tygrysy, 2 pantery, pumy, wielbłądy, lamy.

Niedźwiedzie i słonie otrzymały istotnie zupełnie nowoczesne pomieszczenie, pozwalające na wygodne i nieomal „komfortowe" przebywanie w niewoli.

Oba słonie indyjskie przebywają na terenie specjalnie dla nich przeznaczonym, w przestrzeni przeszło 3 tys. m. kw. Obszerny basen wodny o 300 m. sześc. pozwala im na korzystanie z zimnej kąpieli, ogrodzenie terenu, po którym spacerują, jest urządzone w ten sposób (1 i pół metrowa fosa opatrzona na krawędziach niewielkimi kolcami), że robi wrażenie, jakby słonie były na swobodzie.

Białe niedźwiedzie zajmują przestrzeń 300 m. kw., pokrytą sztucznemi skałami. 3-metrowa fosa okalająca, zawiera dostateczną ilość wody.

Poważnie reprezentowany jest w ogrodzie zoologicznym ród małpi. Pawiany, mandryle, kapucynki i koczkodany — w ogólnej ilości przeszło 40 sztuk.

Dziki — pekari, jelenie indyjskie, daniele i renifer dopełniają królestwa zwierząt.

Niemniej licznie prezentuje się świat ptasi. Prym dzierżą tu papugi, w liczbie setki. Dużo jest żórawi, czapli, orłów i sępów, najbardziej atrakcyjny jest jednak głuszec, z którego posiadania warszawski ogród jest niesłychanie dumny, jest to bowiem ptak do schwytania i utrzymania niezwykle trudny.

Frekwencja publiczności wyraża się przeciętnie w cyfrze 50 tys. osób miesięcznie. Wprowadzono bilety abonamentowe, dające prawo wstępu zawsze, gdy tylko ogród jest otwarty dla publiczności, przyczem opłacać je można miesięcznie, kwartalnie lub rocznie.

Pragnąc umożliwić zwiedzanie rodzinom, zarządzono, że każdy posiadacz abonamentu będzie mógł nabywać dla dorosłego członka rodziny jeden bilet abonamentowy, ulgowy za połowę ceny, oraz dla małoletnich członków rodziny dwa bilety dziennie w cenie wynoszącej ¼ opłaty abonamentowej, normalnej. W ten sposób ogród zoologiczny, na wzór instytucyj zagranicznych tego rodzaju, będzie mógł się stać terenem, na którym dzieci znajdą rozrywkę na świeżem powietrzu, a dorośli, zmuszeni do pozostawania w Warszawie w okresie letnim — wielki, cienisty park dla popołudniowego odpoczynku. Powołano komisję weterynaryjną, do której prócz członków zarządu, zaproszono prof. W. Roszkowskiego, oraz prof. K. Łopatyńskiego.

Wiadomości bieżące.

— **Ochrona bobrów.** — Towarzystwo Miłośników Przyrody w Grodnie w składzie 8 osób z p. Jodkowskim na czele, odbyło wycieczkę naukową wzdłuż Niemna w celu zbadania możliwych warunków i śladów życia ostatnich okazów bobra. Na całej przestrzeni od Grodna aż do kanału Augustowskiego nie natrafiono na żadne ślady. Dopiero przy kanale Augustowskim przy ujściu rzeki Ostówka znaleziono kilka żywych bobrów. Towarzystwo wspomniane postanowiło zaopiekować się znalezionymi okazami i w tym celu postarać się, ażeby do rezerwatów przyłączyć i ochronę nad bobrem.

— **Kobiecy rekord w strzelaniu.** — Po raz pierwszy w historji sportu angielskiego mistrzostwo w strzelaniu uzyskała kobieta.

Co roku odbywają się w Bisley-Surey zawody strzeleckie, które ściągają z całej Anglji, najlepszych strzelców rywalizujących z sobą o zdobycie t. zw. „królewskiej nagrody" i tytułu mistrza-strzelca Anglji.

Obecnie tytuł ten zdobyła panna Marta Grey-Foster, 30-letnia córka właściciela farmy, z zawodu artystka rzeźbiarka.

Z pośród przeszło 100 uczestników konkursu strzeleckiego osiągnęła ona najlepsze rezultaty i wśród wielkiego entuzjazmu zebranych tłumów otrzymała jako pierwsza kobieta w tej gałęzi sportu. tytuł mistrza na rok 1930.

— **Leczenie słonia.** — Zakład rentgenologiczny w Colombo na Cejlonie miał niedawno pacjenta — słonia, którego właściciel opowiedział lekarzowi, że słoń od pewnego czasu niedomaga, stracił apetyt i humor i nie ma najmniejszych chęci do pracy. Zwracał się już do różnych lekarzy, ale żaden nie umiał poradzić choremu zwierzęciu. Ostatni z weterynarzy, do którego się zwrócił, poradził mu, aby prześwietlił słonia promieniami Roentgena, to może odnajdzie się powód choroby.

Operacja prześwietlania słonia nie była dziełem łatwem.

Pomimo kosztów, jakie pociągała za sobą, właciciel nie ustąpił i słonia sfotografowano kilkakrotnie. Ku zdumieniu lekarza, znaleziono na fotografji ślady kuli karabinowej. Tkwiła ona za uchem słonia.

W jaki sposób tam się dostała, jest tajemnicą. Prawdopodobnie ktoś z zemsty, postrzelił słonia z karabinu, z bardzo dużej odległości, tak, że tylko ranił zwierzę. Kula wywołała w uchu zapalenie wewnętrzne, które się coraz bardziej rozszerzało. Po wyjęciu kuli, słoń w kilka dni wrócił do zdrowia i humoru.

— **Stanienie lwów.** — Handel dzikiemi zwierzętami to zawód niebezpieczny, ale za to nader popłatny. Wystarczy np. złapać dwie żyrafy, lub kupić je od tubylców i potem sprzedać w Europie. Taka tranzakcja przynosi około 40.000 złotych dochodu.

W ostatnich czasach lwy dużo straciły na cenie. Jeszcze stosunkowo niedawno lew był najkosztowniejszem zwierzęciem. Za jednego lwa można było dostać 5 nosorożców, dziś za pięć lwów nabywa się jednego nosorożca. Ten spadek cen tłumaczy się szybkiem rozmnażaniem się lwów w niewoli. Rozgoryczeni handlarze twierdzą, że jeśli tak dalej pójdzie, lwy będą niedługo tańsze od zwyczajnego psa.

— **Bocian kłusownikiem.** — P. Schmidt donosi do „D. Jaegerz.", że był świadkiem sceny następującej: Bocian opuścił się na pole i uderzył w coś dziobem, przyczem rozlegał się pisk zająca. Pan S. pośpieszył z pomocą i odpędził bociana, przyczem stwierdził, że ofiarą jego paść miał młody zajączek.

— **Ptaki gnieżdżące się na ziemi.** — Minister rolnictwa w Prusach wydał rozporządzenie zabraniające spalania suchych traw w pewnych, określonych terminach. Rozporządzenie to ma na celu ochronę ptaków gdnieżdżących się na ziemi i w krzewach rosnących na brzegach pól.

— **Ochrona jeża.** — W Karyntji wydano rozporządzenie, mocą którego zabrania się łapania i zabijania jeża.

— **Ochrona zwierzyny w Sowietach.** — W zeszycie „Ochrony Prirody", ozdobionym zdjęciem tygrysa Dżetysu, zamieszczono program obrad zjazdu działaczy ochrony przyrody, obejmujący między innemi sprawy „ochrony myśliwsko - przemysłowego zwierza". Pismo to zwalcza polowania wiosenne. Dalej opisuje kozicę gór Ałtajsko - Sajańskich (Capra sibirica) i plamistego jelenia Południowo-Usuryjskiego kraju (Cervus Dybowskii). Z rezerwatów rosyjskich wymienia między innemi rezerwat Woroneski bobrów i Łopatkiński — bobrów morskich. Pismo interesuje się następnie ochroną bobrów, łosi, koziorożców kaukaskich, kozic, soboli, jeleni i żubrów, których „za ostatni lat dziesiątek padło do 500 sztuk"!

— **Ptaki wędrowne.** — Na skutek umowy między Anglją a Ameryką, Stany Zjednoczone wydały ustawę o ochronie ptaków wędrownych i utworzyły osobny wydział p. n. „Migratory Bird Conservation Commission", który ma na celu tworzenie rezerwatów przeznaczonych dla ptaków wędrownych. W rezerwatach tych polowania będą zabronione.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Domowe wyprawianie skórek.** — Praktyczny sposób domowego wyprawiania skórek zwierzątek futerkowych, który może się przydać osobom zamieszkałym zdala od miast, — podaje „Przemysł skórny":

Zaraz po zdjęciu włożyć skórkę do zimnej wody i moczyć 24 godziny (Skórki wyschnięte moczy się 36 godzin). Postępowanie to ma na celu rozmoczenie krwi i śluzu oraz cząstek mięsa, znajdujących się na skórce. Po tym czasie kładzie się skórkę na dużym, okrągłym wałku drewnianym i zeskrobuje się ostrożnie nożem pozostałe części mięsa, tłuszczu i włókien. Operację tę przeprowadzić trzeba bardzo ostrożnie w celu uniknięcia pocięcia skórki.

Następnie skórkę wymoczyć w roztworze (obliczonym na 4 skórki). Roztwór przyrządzić w następujący sposób: do garnka wlać 4 litry wody, ½ kg. ałunu (lodek) i jedną czwartą kg. soli kuchennej; gotować aż do rozpuszczenia ałunu, następnie wlać do cebrzyka drewnianego, czystego (przedewszystkiem unikać cebrzyka zatłuszczonego) i po wystygnięciu włożyć skórki do tegoż roztworu i ubłaczać drewnianym tłuczkiem 12 do 15 minut, poczem pozostawić na 24 godzin w tymże roztworze. Dla całkowitego zanurzenia obciążyć skóry czemkolwiek. Po tym czasie wyjąć skórki z roztworu, starając się, ażeby każdorazowe wyciągnięcie uskutecznione zostało za włosem; roztwór podegrzać tak długo, póki można ręką wytrzymać, i znów zanurzyć skórki po raz drugi i ubłaczać 8 — 10 minut, poczem zostawić w tym samym roztworze przez przeciąg 48 godzin. Gdy się wyprawia większą ilość skórek razem, zwiększa się stosunkowo ilość roztworu. Następnie wyjąć skórki i przybić włosem do deski, i suszyć w przewiewnem miej-

ści aż do zupełnego wyschnięcia. Po wyschnięciu miętosić w rękach tak długo, aż będą zupełnie miękkie, o wyglądzie wyprawionej skórki. Zamiast w rękach można ocierać o kant deski, oczywiście stroną bezszerstną. Najważniejszą operacją jest dokładne zeskrobywanie włókna i wyciąganie skórki zawsze za włosem z roztworu. Jest to dosyć przewlekła praca. W ten sposób wyprawione futerka są wyśmienite i w niczem nie ustępują najlepszej wyprawie kuśnierskiej, odznaczając się zarazem także trwałością.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

— **Włączność ustanowionych terminów.** — Interpretacja określeń terminów ochronnych na zwierzynę łowną, ustanowionych bądź to rozporządzeniem p. Prezydenta R. P. z dnia 3 grudnia 1927 roku o prawie łowieckiem, bądź też rozporządzeniami pp. wojewodów (dodatkowemi), nie powinna nasuwać żadnych wątpliwości.

Wobec tego, że jednak, jak się dowiadujemy, zdarzają się niejednokrotnie wypadki mylnego interpretowania tych określeń, wyjaśniamy, że określenia terminów ochronnych rozumieć należy włącznie.

Więc np., jeśli ustanowiony jest czas ochronny na kuropatwy od dnia 1 grudnia do dnia 31 sierpnia, to znaczy, że wolno strzelać kuropatwy dopiero dnia 1 września, a niewolno już na nie polować dnia 1-go grudnia.

— **O podatek od broni.** — Sejmik Drohiczyński przesłał nakaz płatniczy na uiszczenie 10 zł., jako podatku od broni, zniesionego już przez Najwyższy Trybunał. Gdy zwróciłem się do sekretarza sejmiku o informacje, na jakiej podstawie ściągają podatek, oświadczono mi, iż wobec tego, że gminy województwa poleskiego nie pobierają podatku od terenów, postanowili oni wzamian ściągnąć podatek od broni. Czy sejmik coś podobnego ma prawo robić i czy istnieje podatek od terenów i w jakiej wysokości? — **Józef Wojtkiewicz.**

— **Odpowiedź.** — Najwyższy Trybunał Administracyjny w znanym wyroku, podatku o broni myśliwskiej, jako przedmiotu zbytku, nie zniósł, lecz uznał, że może on być nakładany tylko na osoby niebędące właścicielami lub dzierżawcami polowań, lub posiadające broń myśliwską w ilości nadmiernej. Ponieważ ta kategorja osób jest nader nikła, praktycznie rzecz biorąc, podatek ten został zniesiony, gdyż gminy, nawet takie, jak m. st. Warszawa, przestały go z tego względu uchwalać. Niedopuszczalna jednak, niezgodna z ustawą o tymcz. ureg. finansow. komunalnych i wyrokiem N. T. A., jest taka interpretacja, że gminom służy wybór między podatkiem od wykonywania polowania a podatkiem samoistnym od broni myśliwskiej, jako przedmiotu zbytku, gdyż ustawa o tymcz. uregulowaniu finansów komunalnych wyraźnie zabrania opodatkowywania samoistnymi podatkami, źródeł w tej ustawie już opodatkowanych. Ponieważ zaś sama ustawa już w art. 19 przewidziała podatek od wykonywania polowań, to na ewent. płatników tego podatku nie można nakładać samoistnego podatku od broni myśliwskiej, jako przedmiotu zbytku, a jeśli gmina chce ich opodatkować, to może to uczynić jedynie w drodze uchwalenia podatku od wykonywania polowania. — **W. W. G.**

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO", dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, zwyczajem dorocznym, ogłasza niniejszem myśliwski konkurs fotograficzny i wzywa ogół myśliwych do nadsyłania ciekawych i pięknych zdjęć łowieckich, które nadawałyby się do reprodukcji w naszem piśmie.

Nazwisko należy pomieścić w zamkniętej kopercie, zaopatrzonej w to samo godło, co i nadesłane fotografje.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie oraz trofea łowieckie.

Jako nagrodę I wyznaczamy zł. 150, drugą — zł. 100 i trzy następne — po zł. 50.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 1 października. Nagrodzone fotografje zostaną zamieszczone w „Łowcu Polskim"; pozostałe zaś — zależnie od uznania Redakcji.

Jury stanowi Komitet Redakcyjny.

Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie dobrej reprodukcji — jest dobra, ostra fotografja na papierze bromosrebrnym; kolor jej nie może być bronzowy (sepjowy).

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Drobne ogłoszenia: wiersz 1 zł. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Agentom niewolno pobierać zaliczek. Drobne ogłoszenia po 10 gr. za wyraz; grube litery — po 20 gr.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stow. Łowieckich.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka. Warszawa, Warecka 15.